

Archiwum i Muzeum Pomorskiej Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek
87-100 Toruń, ul. W. Garbar
tel. 55-22-186, e-mail: archAK@um
REGON 870502736

FUNDACJA ELŻBIETY ZAWACKIEJ
Archiwum i Muzeum Pomorskiej Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Polek
87-100 Toruń, ul. Podmurza 93, tel. 0048 56 65 22 186
e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl

MEMORIAL
General Marii Wittek



AK
Radom Kielce
Obr. J.T. 2a

Zisba - Wajs Alicja
ps. "Kalina"

3580/wsk

**SPIS ZAWARTOŚCI
TECZKI**

..... *ŻIEBA-WAYS Alicja*

..... *ps. Kalina*

..... *T. 3580/WSK*

I./1. Relacja —

I./2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące relatora —

I./3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące relatora —

II. Materiały uzupełniające relację *v k. 4, 5-1-7*

III./1. Materiały dotyczące rodziny relatora —

III./2. Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III./3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III./4. Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 —

III./5. Inne ... —

IV. Korespondencja —

.....

.....

.....

V. Nazwiskowe karty informacyjne —

VI. Fotografie *brak*

II Materiały uzupełniające relację

- A. Zięba - Wąsy ps. "Kalina", Wojskowa Służba Kobiet. Wspomnienia, "Zeszyty Kombatantki" 2002 (34(11)), Ksewo, k. 4, s. 1-7



Żyły
Kombatache
39 (11) / 2002
Istota - gdań

Alicja Zięba-Ways ps. „Kalina”
Podobwód „Dolina” - Iłża

WOJSKOWA SŁUŻBA KOBIET

WSPOMNIENIA

Był rok 1939. Miałam wówczas 12 lat. W dniu 27 sierpnia odbywał się festyn na zamku w Iłży, zorganizowany na cele dobroczynne w związku z nowym rokiem szkolnym. Festyn zorganizowały członkinie PCK. Po południu rozeszła się wieść, że wielu mężczyzn otrzymało karty mobilizacyjne. Zrobiło się ponuro, powiało grozą. Takim akcentem zakończył się festyn. Mobilizacja była zaskoczeniem, mimo iż od dłuższego czasu mówiło się o wojnie, że jest nieunikniona.

Przygotowywaliśmy się do nowego roku szkolnego, a tu o świcie 1 września usłyszeliśmy od ojca, że Niemcy napadli na Polskę. Do szkoły już nie poszliśmy. Wojna! Około południa dotarły wieści, że niemieckie samoloty zbombardowały Zakłady Starachowickie oraz wiadukt w Radomiu. W mieście nastał ożywiony ruch. Ludzie gromadzili zapasy, szykowali ciepłą odzież oraz chowali co cenniejsze rzeczy do piwnic i prowizorycznych schronów. Nastąpił exodus ludności cywilnej z zachodniej części kraju, wszyscy zdążyli za Wisłę, która miała stanowić naturalną przeszkodę dla napastników, a równocześnie stać się bastionem naszej armii. Te tłumy ludzi, często z małymi dziećmi i bagażami, jechały na czym się tylko dało, ale w zasadzie konnymi wozami, lecz również rowerami, albo szły przed siebie pieszo, również pchając wózek z niemowlętami.

Przy moście betonowym w Iłży ustawiono działo przeciwlotnicze. Dowódcą tej baterii był por. Śliwiński. Od 6 września dniem i nocą przemaszerowały nasze wojska. Mieszkaliśmy wówczas przy ulicy Bodzentyńskiej, która stanowiła główną arterię dla przemieszczania wojsk. Drugi taki szlak stanowiła ulica Błazińska, będąca jednocześnie szosą główną, prowadzącą z Iłży do Starachowic i Ostrowca, ale nie tak chętnie wykorzystywana ze względu na bombardowania lotnicze. Większość żołnierzy pochodziła ze wschodnich terenów naszego kraju. Nie znali okolicy i byli głodni, zakurzeni i zmęczeni. Z każdego domu, co kto miał, podawał im do jedzenia i coś do picia. Przemarsz wojsk trwał aż do 8 września 1939 r. 6 września ewakuowano urzędy miasta, także za Wisłę. Wyjechał mój ojciec, sekretarz magistratu m. Iłży.

8 września w godzinach popołudniowych rozpoczęła się bitwa iłżecka, która trwała do 10 września, gdy nadleciały niemieckie samoloty zrzucając bomby w centrum miasta, wokół kościoła parafialnego. Jedna z bomb trafiła w budynek plebani, obok dzwonnicy. Około południa wkroczyli do miasta Niemcy. Zajechali czołgami na plac przy ulicy 11 Listopada i nagle znaleźli się policjanci w czarnych mundurach - byli to osadnicy niemieccy z Gozdawy. Tak się zaczęła okupacja. Następne wydarzenia wojenne przeszły wszelkie wyobrażenia.

Bitwę pod Iłżą przeżyliśmy ukryci, gdzie kto mógł, głównie w piwnicach i w kościele. Zewsząd dochodziły grzmoty dział, świsty kul, huk i terkot karabinów maszynowych - jednym słowem piekło. My ukryci, a oni, nasi żołnierze, w szczerym polu. Taka ich doła. Płonęły domy w wyżej położonych częściach miasta. Iłża leżąc w dolinie nie poniosła dużych strat materialnych, lecz jednak liczne ofiary w ludziach.

Pierwszy bestialski mord popełniony przez żołnierzy niemieckich to rozstrzelanie przy figurze św. Jana stojącej na skrzyżowaniu dróg polnych Kotlarka – Piłatka i ul. św. Franciszka. Zginęło pięciu mężczyzn, wśród których byli Stefan Cichosz i Dawidowicz. W kościółku św. Franciszka zgromadziła się znaczna liczba osób, uciekinierów i miejscowa ludność. Schronili się tu w czasie bitwy, która wokół toczyła się zaciekle. Gdy Niemcy zdobyli kościółek, aresztowali mężczyzn, pozostawiając kobiety i dzieci samym sobie i podpalając kościółek. Mężczyzn rozstrzelali przy wspomnianej figurze, a kobiety i dzieci salwowały się ucieczką w pobliskie pola. Tak wyglądał przedsmak terroru. Zabitych mężczyzn wrzucono do rozpadliny.

Na pobojuwisku pozostali ciężko ranni i zabici w walce polscy żołnierze. Ranni zostali umieszczeni w szpitalu, grzebaniem zmarłych zajął się ks. Jan Ruczkowski. Polegli żołnierze byli grzebani tam, gdzie padli, część zaś na miejscowym cmentarzu. Ekshumacji dokonano dopiero po 1945 roku, urządzając cmentarz wojskowy, partyzancki i ofiar terroru, nadając mu charakter mauzoleum.

Schwytanym do niewoli wielu naszym żołnierzom Niemcy urządzili przejściowy obóz jeńcki przy nowym cmentarzu, wzdłuż muru cmentarnego przy drodze do Pakostawia oraz na tyłach cmentarza, gdzie znajdowały się rozległe pola, utrudniające ucieczkę. Niektórym jednak ona się udawała. Do jeńców dopuszczano wyłącznie kobiety i dzieci. To też biegałyśmy tam przynosząc, co kto mógł z żywności i odzieży. Odzież trudniej było dowieźć, lecz i to się udawało. Ale już 12 września w nocy zlikwidowano obóz i około 200 jeńców wywieziono. Zaczęli też powracać z tułaczki nasi mężczyźni, co trwało do końca września, a nawet przez cały październik. W październiku zostały otwarte szkoły. Siostra i ja poszłyśmy do gimnazjum, brat do pierwszej klasy szkoły powszechnej. Dyrektorką gimnazjum została pani Jadwiga Jastalska, jako że przedwojenny dyrektor Stanisław Art, zmobilizowany na wojnę, nie powrócił. Nie dane nam jednak było zbyt długo cieszyć się nauką w szkole, gdyż po konfiskacie książek w dniu 25 stycznia 1940 r. zamknięto gimnazjum.

10 listopada 1939 r., w przeddzień Święta Niepodległości, aresztowano kilku zacniejszych obywateli miasta, w tym Romana Peszyńskiego, kierownika szkoły powszechnej. Więziono ich w Radomiu. Po kilku dniach zostali zwolnieni. Nauka w szkole powszechnej odbywała się z różnymi perypetiami. Nauczyciele robili wszystko, co było w ich mocy, aby dzieci zdobywały wiedzę.

W 1940 roku miały miejsce liczne aresztowania działaczy POW, Strzelca oraz inteligencji miasta. 30 marca aresztowano mojego ojca, Józefa Ziębę. Więziono go w Radomiu, a następnie w Sandomierzu. 17 czerwca 1940 r. został ze stu innymi współwięźniami politycznymi rozstrzelany w lesie w Górach Wysokich k. Sandomierza. Tego samego dnia, 30 marca usiłowano aresztować nadleśniczego z Marcul, Józefa Pierożyńskiego, który nie przeżył aresztowania (przed wkroczeniem do mieszkania Niemców zażył truciznę). W dniu 4 czerwca 1940 r. zostali aresztowani, a następnie rozstrzelani 29 czerwca następujący patrioci: Antoni Jabłoński, Adam Szymański, Józef Wasatko, Karol Szlachetko, Karol Męciwoda, Bolesław Nosowski, Kazimierz Starowicz, Piotr Sępioł, Roman Reuner, Kazimierz Sionek. Mordu dokonano na Brzasku k. Skarżyska. Zginęło wówczas bez mała 800 osób.

11 czerwca 1940 r. aresztowano i wywieziono do obozów koncentracyjnych: ks. Walentego Korczaka, ks. Piotra Jaroszka, Władysława Wielechowskiego, Antoniego Nobisa, Wojciecha Nobisa, Tadeusza Waysa, Romana Stobnickiego, Tusiewiczza oraz Jerzego Zaborowskiego. Jerzy Zaborowski, jako nieletni (urodzony w 1926 r.) został po kilku dniach zwolniony.

W nocy 26/27 maja 1942 r. Niemcy wyprowadzili z Łży wszystkich Żydów, około 500 osób, o których wieść zaginęła. W roku 1943 aresztowano i rozstrzelano Bolesława Ostrowskiego, Henryka i Stanisława Pawelców, Jana Ciepielewskiego, Wacława Kroczewskiego, Wacława Kiepasa. W 1944 r. aresztowano Zofię Wiercińską. Ponadto zostali aresztowani rodzeństwo Wanda i Czesław Ceglarscy, oraz jeszcze inne osoby, których nazwisk już nie pamiętam.

Od 1940 r. nauczanie z zakresu szkoły średniej odbywało się konspiracyjnie, na tzw. tajnych kompletach. Początkowo uczono indywidualnie, ale od 1941 roku pani Jadwiga Jastalska, mgr filozofii, wspólnie z paniami Heleną Sępiołówną i Franciszką Halanką zorganizowały komplety uczniów. W późniejszym okresie uczyli również Hanna Zawistowska, Franciszek Kitowski i indywidualnie Hieronim Michalski - literat i dziennikarz przybyły z Warszawy. Nauka w szkole powszechnej też odbywała się w różnym czasie i w różnych formach, legalnie i nielegalnie, w budynku szkoły, a gdy ta była zajęta na kwaterowanie okupantów, w różnych domach prywatnych, najczęściej w mieszkaniach nauczycieli. Tajne nauczanie przygotowywało nas również do życia w konspiracji - to była bardzo dobra szkoła. Na przełomie 1943/1944 r. z inicjatywy WSK została założona Szkoła Gospodarstwa Domowego. Nauka odbywała się w tzw. „organistowce”, narożnym budynku ulic 11 Listopada i Wójtowskiej. Inicjatorką, jak i kierowniczką tej Szkoły była p. Wacława Kotlicka, a uczyły w niej Mieczysława Kotlicka, Bogusława Latrzanka jak i inne panie z WSK. Do szkoły tej uczęszczały moje koleżanki ze szkoły powszechnej oraz inne dziewczęta z okolicy.

Do Armii Krajowej wprowadziła mnie w 1944 r. Krysia Sępiołówna. Przypuszczam, że rekomendacji dokonałam sama, dostarczając do pp. Sępiołów amunicję. Znalazłyśmy ją wspólnie z p. Stefą Jastalską podczas porządkowania przed zimą 1939 r. jej ogródka przed



Przysposobienie Wojskowe Kobiet w okresie międzywojennym, z którego wzory przygotowania do działań konspiracyjnych wykorzystywała Wojskowa Służba Kobiet Armii Krajowej.

domem - prawdopodobnie jacyś żołnierze wrzucili tu całe magazynki. Ukryłyśmy tę amunicję w ziemi, uprzednio ją zabezpieczając. Tak przeleżała aż do 1943 r., gdy po wykopaniu jej, co również wykonaliśmy z p. Stefą, zaniiosłam ją sama do Heleny Sępiołówny, o której wiedziałam, że działa w konspiracji. Po złożeniu przysięgi zostałam skierowana na kurs obsługi broni, prowadzony przez ppor. Wincentego Tomasika „Potoka”, a następnie na kurs sanitarny, który prowadziła młoda lekarka. Asystowała jej Krysia Sępiołówna. Na otwarcie kursu przybyła p. Bogusława Latrzanka „Ewa”. Lekarka wprowadziła nas w tajniki pracy konspiracyjnej oraz określiła obowiązki, jakie z tą chwilą przejmujemy na siebie. Szkolenie odbywało się w pokoju na poddaszu domu pp. Sępiołów w Iłży, przy ul. Mostowej 10. Na ten kurs uczęszczały ze mną koleżanki z tajnych kompletów: Zofia Kowalska, Helena Gilewska, Janina Piątkowska, Helena bądź Zofia Grudnikówna. Razem było nas siedem. Na kursie posługiwania się bronią nie znałam nikogo, a było nas ok. 20 osób.

Czynną działalność konspiracyjną podjęłam dopiero wówczas, gdy był organizowany I pułk im. Ziemi Łżeckiej. Powierzono mi kolportaż prasy, obstawę przy różnych akcjach, przenoszenie meldunków itp. Po bitwie na Piotrowym Polu brałam udział w poszukiwaniu transportu rannych z lasu do zorganizowanego u p. Franciszka Grzegolca szpitala w Szkole Rolniczej w Chwałowicach. Bitwa, jak powszechnie wiadomo, rozpoczęła się 1 października 1944 r. Pierwsi ranni zostali odnalezieni po czterech dniach. Inni szukali pomocy na własną rękę. Tacy jednak, którzy byli ranni w nogi, niestety, zostawali w lesie. Byli to: por. Jan Młynarczyk „Mieczyk” z kompani opatowskiej, Stanisław Haba „Mączka” z kompanii łżeckiej. Dopiero w niedzielę, 8 października, a więc po tygodniu, został odnaleziony i przewieziony do tegoż szpitala ranny w nogę żołnierz z kompani „Wrzosa” „Judasz”, nazwiska jego nie znam, wiem, że używał imienia Antoś. Ten chłopak, partyzant, brał udział w rozbijaniu więzienia i uwolnieniu więźniów w Kielcach w 1945 r. pod dowództwem por. „Szarego”.

Rano 4 października otrzymałyśmy rozkaz przywiezienia rannych. Wyjechałyśmy wozem konnym, którym powoził chłopak z AK, Edward Malec. Jechała Krysia Sępiołówna i ja. Na skraju lasu, przy gajówce od strony Maziarz oczekiwał nas gajowy Orczykowski, z którym pojechaliśmy w las. Po niedługim czasie, poszukując w krzakach, natknęliśmy się na rannego. Był sam. Partyzant nazywał się Stanisław Haba „Mączka”. Jego towarzyszy niedoli, por. Jan Młynarczyk „Mieczyk”, odszedł szukać pomocy. Pomimo usilnych poszukiwań nie udało się go znaleźć, chociaż wiedzieliśmy, że jest ranny w nogę i nie mógł daleko odejść. Gajowy został w lesie. My załadowałyśmy rannego w udo i podudzie, z urwanym palcem u nogi i częściowo urwanym drugim palcem ręki. „Mączka” nie chciał zdjąć opaski biało-czerwonej, tak że z przykrością zdjęłyśmy mu ją siłą i schowałyśmy. Jechaliśmy polnymi drogami, w zasadzie wygonami wzdłuż wsi Kotlarka-Maziarze, a następnie drogą św. Franciszka, do zabudowań Juliusza Grudnika, oficera AK. Zbliżała się godzina policyjna, więc trzeba było zrezygnować z dalszej jazdy. „Mączkę” ułożyłyśmy w łóżku, po zrobieniu opatrunków. Krysia została jako opieka nad rannym, a ja pojechałam do Iłży zameldować o przebiegu przeprowadzonej akcji. Wóz zawrócił do lasu po por. „Mieczyka”. Pod osłoną nocy wszyscy ranni zostali przewiezieni do Chwałowic do szpitalika w domu Franciszka Grzegolca. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że dom p. Grzegolca był położony na terenie Szkoły Rolniczej, w której wówczas kwatrowali żołnierze Wehrmachtu, a poza tym koncentracja wojska niemieckiego była bardzo duża, jako że były to tereny przyfrontowe.

Rano 5 października pojechałam do Chwałowic, by zrobić opatrunek odnalezionemu por. „Mieczykowi”. Po pewnym czasie przyjechał dr Chyczewski badać rannych. Dostałam od niego rugi za zbyt duże zużycie gazy do opatrunku, gdyż materiał opatrunkowy był

na wagę złota. Przeprosiłam, przyjmując uwagę z należąną pokorą i zrozumieniem. Rannych leczył również dr Jerzy Puacz. Opiekę medyczno-sanitarną powierzono Krysi Sępiołównie i mnie. Jeździliśmy do rannych z zasady razem, lecz często byłam wysyłana sama. W niedzielę, 8 października, przyjechała bryczką z Pakosławia jakaś pani, ta sama, którą spotykałam na kursie. Była to Bogusława Latrzanka „Ewa”, komendantka WSK, z którą pojechałam przez Kotlarkę do Piotrowego Pola. Ten przejazd był kamuflażem do przewiezienia wozem konnym bardzo ciężko rannego w nogę partyzanta „Judasza”. Sanitariuszką, która nim się opiekowała w czasie transportu, była Krysi Sępiołówna. Tego rannego również dowieźliśmy do szpitala w Chwałowicach. Stan rannego był bardzo ciężki, gdyż leżał w lesie aż siedem dni, a nieopatrzona rana spowodowała flegmonę całego podudzia i silne wyczerpanie organizmu. Dr Chyczewski wykonał operację, zakładał dreny, które trzeba było codziennie zmieniać. „Judasz” leczył się aż do grudnia, a następnie przebywał na rehabilitacji u rodziny Kulików w Iłży. W okresie leczenia opiekę nad rannym w dzień i w nocy sprawowała Janina Grzegolcówna, dorosła córka Franciszka Grzegolca. Pomagały jej w czynnościach opiekuńczych sanitariuszki Żmijewska „Mateńka” i Marysia Kabała „Aldona” z oddziału „Potoka”. Ranni byli umieszczani w pokojach na poddaszu. Było ich kilku. Żaden z nich nie miał dowodu osobistego (kennkarty), a były one niezbędne, gdyż inaczej nie mogliby się poruszać. Otrzymałyśmy polecenie zrobienia im fotografii do dowodów osobistych. Aparat fotograficzny dostałyśmy od Jana Pawelca, fotografa z Iłży. Poinstruował nas, jak mamy się obchodzić z aparatem, jak ustawić osobę, tło itp. Do fotografii ubieraliśmy każdego po kolei w daytime koszule i marynarki, za tło służyło trzymane przez dziewczyny prześcieradło. Zdjęcia robiłyśmy przeważnie Krysi i ja. Błony w aparacie przekazałyśmy do obróbki fotografowi. Była radość, gdy okazało się, że wszystkie są udane. Dowody osobiste wyrobił im, jak zresztą wszystkim potrzebującym Franciszek Kitowski, urzędnik magistratu w Iłży. Poza opieką nad rannymi jeździłam lub chodziłam również do rannych leżących w „Młynarzówce” w Starej Jedlance, rozległym domu należącym do rodziny Radzimowskich. Pomimo że Stefan Radzimowski został przypadkowo śmiertelnie postrzelony przez któregoś z partyzantów, rodzina ta całym sercem, duszą i czynem wspierała przez lata okupacji zarówno partyzantów jak i wielu ludzi potrzebujących pomocy. Ich dom był tym ludziom ostoją.

U Ryszardów Szymańskich leczyło rany dwóch chłopców. Jeden z nich, „Polus”, był bardzo ciężko ranny w klatkę piersiową, leczył się jeszcze w 1945 roku. Opiekowała się nim Stanisława Szymańska i Halina Mataczówna „Lilla”. Służyła ona w intendenturze, lecz powierzano jej również zadania łączniczki i sanitariuszki. Była bardzo energiczna i uczynna.

Szpital w „Młynarzówce” działał do maja 1945 r., tj. do czasu, gdy nastąpił - prawdopodobnie przez przeciwników politycznych - napad na dom, w wyniku czego „Lilla” została ranna w twarz odłamkami granatu. Gdy jestem przy tej rodzinie, muszę jeszcze wymienić mieszkającą w Iłży Marię z Radzimowskich Adamową Szymańską ps. „Łza”, która przez całą okupację udzielała pomocy i schronienia rannym, ukrywającym się i innym potrzebującym pomocy. Starszy syn Janusz „Mściwy” również niósł pomoc innym. To wspierała rodzina, z którą dane mi było działać. Takich rodzin było dużo.

W pierwszych dniach października 1944 r. zawiozłam do Iłży meldunek do por. „Potoka”. Przebywał on wtedy w wiejskiej chacie w Podkońcach. Był to trzeci dom od krzyżówki drogi z Prędocina. Zapamiętałam go, gdyż do tego samego domu w listopadzie 1944 r. przywiozłam z Małomierzyc lekarza, prawdopodobnie był to późniejszy prof. Julian Aleksandrowicz z Krakowa z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pod koniec listopada i w grudniu miałam jeszcze pod opieką chorych partyzantów. Jeden z nich chorował na szkorbut. Był

on zakwaterowany u pp. Pawłowskich, a opiekowała się nim Andzia Pawłowska. Dla chorych były przydzielane artykuły żywnościowe i do higieny osobistej. Magazyn był zlokalizowany w budynkach rodziny Szymańskich w Iłży. Intendentem był ppor. Franciszek Trześniewski, a magazynierem Waclaw Wieczorski. Inny chory zakwaterowany był u p. Kapusty w Starej Jedlance. Stan jego był bardzo ciężki. W wyniku badań lekarskich stwierdzono tyfus, wymagający leczenia szpitalnego. Musiałam więc dostarczyć tego chorego do szpitala w Iłży. Chory był okutany pierzynami i transport zniósł nieźle, tak że szczęśliwie dotarliśmy do celu. Chorego przyjęła i serdecznie nim się zajęła jedna z siostr Szarytek (wtedy będących jeszcze w szpitalu), prawdopodobnie wtajemniczona w sprawę. W szpitalu odwiedzałyśmy naszego chorego jeszcze w styczniu 1945 r., którym był to partyzant z oddziału „Szarego”. Dzięki dobrej opiece wyzdrowiał.

Noc sylwestrową 1944/45 r. spędziłam razem z Krysią Sępiołówną w wiejskiej chacie w Rzecznowie. Była tam skrzynka kontaktowa. Zawoziłyśmy wtedy meldunki. W nocy było słycać niezbyt odległe strzały, płonęły domy w Podkońcach i Rybiźnie. Ostatnią akcją, którą przeprowadziłyśmy na rozkaz WSK, była pomoc w ucieczce mężczyzn schwytanych podczas pacyfikacji Iłży, 11 stycznia 1945 r. Była to druga próba pacyfikacji. Pierwszy raz Niemcy usiłowali dokonać pacyfikacji w dzień targowy w październiku 1944 r. Przyjechało wówczas wiele wozów na targ z kontyngentem zbożowym, był tłum ludzi. Niemcy zablokowali wyloty ulic, ustawili posterunki i zaczęli wyłapywać młodych w sile wieku mężczyzn, gromadząc ich na placu przy ul. 11 Listopada. W pewnej chwili nadleciały sowieckie samoloty, zaczęły ostrzeliwać to zgromadzenie i zrzucać bomby. Tłum się rozpiechł. Pacyfikacja nie powiodła się. W wyniku bombardowania śmierć poniosła pani Bijasiewiczowa, żona byłego dyrektora szpitala w Iłży oraz ranne zostały dwie jej przyjaciółki. Panie te przybyły do Iłży po Powstaniu Warszawskim.

Druga pacyfikacja, niestety, powiodła się. O świcie 11 stycznia 1945 r. na skrzyżowaniach i wylotach wszystkich ulic zostały ustawione patrole z karabinami maszynowymi. Żołnierze niemieccy wyłapywali wszystkich mężczyzn z ulic oraz wyciągali z mieszkań, dokładnie je penetrując. Wszystkich zatrzymanych mężczyzn gromadzono na rynku. Trwało to prawie do południa. Wówczas podstawiono samochody ciężarowe, na które ładowano zatrzymanych i wywożono w stronę Starachowic. Powstał wielki tumult, dzieci płakały, kobiety krzyczały, były bezradne. W tej sytuacji należało działać, to też z inspiracji Heleny Sępiołówny dziewczęta z WSK miały za zadanie pomóc w ucieczce. Niezależnie od tego otrzymałam 500 zł., ażeby przekupić wartowników. Udało się. Przez podwórze Kiepasów i Bednarczyków dużo osób uciekło w czasie, gdy zagadywałam swoją słabą niemczyzną Niemca. Inne koleżanki również stosowały najrozmaitsze sposoby. Ci, którzy wyszli z rynku, potrafili w większości dawać sobie radę. Część ukryła się w piwnicy starego domu, w którym mieliśmy kwaterę. Na włącz do piwnicy był ustawiony prowizoryczny stos szczap dla zamaskowania wejścia. Byłam w tej kryjówce z wiadomościami i jedzeniem. Jeden z tam obecnych przedstawił się jako Jan Doliński. Wywózka na rynku trwała do zmroku. Tych, których nie udało się wywieźć przy dziennym świetle wprowadzono do byłej bożnicy i stamtąd sukcesywnie wywożono do późnej nocy. Pewnej liczbie mężczyzn udało się zbiec z transportu. Inni załadowani do bydłowych wagonów z zakratowanymi oknami, zostali wywiezieni w głąb Niemiec. Część z nich zamordowano, część zginęła w czasie działań wojennych we Wrocławiu. Mało kto powrócił.

W wspomnieniach tych muszę podkreślić, że podczas mojej pracy konspiracyjnej w całym okresie pomagała mi szczególnie najbliższa rodzina oraz życzliwi sąsiedzi i współlokatorzy, co pozwoliło przetrwać ten trudny czas. Warunkiem działalności konspiracyjnej był jak najmniejszy krąg powiązań. Jak dalece było to przestrzegane, niech świadczy fakt,

że nic nie wiedziałam o przynależności do organizacji mojej rodzonej siostry Marii „Ziuty”, a przecież mieszkałam z nią pod jednym dachem. Dowiedziałam się dopiero 17 stycznia 1945 r. Siostra 16 stycznia została wysłana z meldunkiem do Starachowic, skąd otrzymała kolejny, pilny powroty do Łży. Ruszyła więc pieszo, gdyż nie mogła złapać już żadnej „okazji”. Wędrowała całe popołudnie i noc, wśród wycofujących się wojsk niemieckich. Meldunek jednak doniosła, choć zapłaciła za to ciężką chorobą.

Wszyscy chorzy i ranni, którymi się opiekowałam, wyzdrowieli - miałam wielkie szczęście, żaden Niemiec nigdy i nigdzie mnie nie zaczepił i nie byłam rewidowana. To właśnie wspaniała ofiarność i patriotyczna postawa społeczeństwa ziemi Łżeckiej pozwoliła na tę działalność, przy ogólnych minimalnych stratach lub nawet bez strat. Z całego serca za tą pomoc dziękuję.

Dodam, że Bitwa Łżecka z września 1939 roku jest uwieczniona tablicą pamiątkową wmurowaną w lewy środkowy filar Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie, ku chwale poległych nieznanymi żołnierzami w tej bitwie.



Łża, kościół parafialny.

ZiE BA - WAYS Alicja

